

Lulajże...

Próżno by pytać, kiedy i gdzie to było. Zanimbyś tam dopełził wysiłkiem żmudnym, już by cię hoża śmierć namierzyła i chwacko bez ostrzeżenia za gardło ucapiała.

Była najwyższa góra i neogotyckie zamczycho ze szerniałymi ścianami drzemiące w sfumato chmur. Tam sfrasowana księżniczka ze łzami drżącymi u półprzymkniętych powiek próżno w horyzont była wpatrzona. Smok chuligański żywot pędził, chlał na umór, a potem ruszał w tournée po północno - wschodnich rubieżach. Wtedy czarnobrewy chojraki, wyniuchawszy nieobecność smoka huncwota zjeżdżali hurtem do zamku. Ale niestetyż, nie po chabrooką dziewoję. Chachmęcili w zamku, haratali witraże o złotym sztafażu, hańbili się kradzieżą biżuterii po arcyksięciu Bożydarze Pięknym. Z czasem by pewno dotarli do wieży i krzepkiej dziewczyny, ale słodkomdła woń kleiku ryżowego nęciła chciwie ich nozdrza. W kuchni grubachna Georgia prażyła już orzechy i warząchwia żeberka we wrzącym wywarze przesuwiała.

A na wieży głuchoniemo, cichociemno księżniczka z żalem podlewała cieciorkę nieparzystopierzastą o białoróżowych kwiatach i czekała na rycerza, co hartowanym mieczem porządek tu uczyni, a ją na wierzchowcu w przestrzeń pszenżyta powiezie. I nuciła lulajże ...